



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

DOMOFON

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ 1

LEPIEJ UWAŻAJ. ANUSZKA ROZLAŁA OLEJ.

WARSZAWA, PRAGA PÓŁNOC,
NAPIS NA BARIERCIE PRZYSTANKU TRAMWAJOWEGO
NA ROGU UL. INŻYNIERSKIEJ I 11 LISTOPADA

1

To nie był idealny dzień na rozpoczęcie nowego życia. Coś było nie tak. Na początku myślał, że to przez drogę. Piękna przed południem pogoda teraz zrobiła się paskudna i typowo październikowa, ruch był większy niż zwykle. Żałował, że zdecydowali o rozpoczęciu przeprowadzki w piątek. Gdyby zrobili wszystko w sobotę i niedzielę, byłoby znacznie łatwiej. Przede wszystkim nie musiałby walczyć z tirami na mokrej drodze. Szlag by to trafił.

A może chodziło o coś więcej niż jazdę w złych warunkach? Za Pułtuskim, kiedy mijał tablicę „Warszawa 59”, poczuł, jak coś ugniata mu klatkę piersiową. Przez moment nie mógł złapać oddechu i o mało nie wpadł w panikę. Uspokoił się, wciągając powietrze z cichym świstem. Co jest grane, powtarzał w myślach, co jest grane? Pewnie po prostu jestem zmęczony. Jak to się będzie powtarzać, będę musiał iść do lekarza. Co za pech, opuszczam koszmarne rodzinny dom, jadę z ukochaną kobietą do nowego mieszkania, zaczynam nowe wspaniałe życie i nie mogę zaczerpnąć oddechu. Coś chyba rzeczywiście jest nie tak.

– Halo, halo! Ziemia wzywa Roberta! Bzzz, bzzzz, słyszycie nas?

– Co? Przepraszam, zamyśliłem się, mówiłaś coś?

Agnieszka była za to wesoła jak dziecko na szkolnej wybieżce. Ręce założyła za głowę, ściskając nimi króciutki koński ogon, stopy oparła o przednią szybę starej mazdy, którą pieszczotliwie zwali „mazdolotem”. Wcześniej włożyła do magnetofonu ulubioną składankę radosnych kawałków z lat osiemdziesiątych i teraz kiwała dużymi palcami u nóg w rytm *I will survive*. Wyglądała bardzo, bardzo sexy. Robert poczuł przyjemne mrowienie w dole brzucha.

– Tak, mówiłam. Mówiłam, że jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Co ty na to?

– Ja na to OK. To znaczy, że już jest nas dwoje. Jak znajdziemy jakiegoś szczęśliwego autostopowicza, to go skasujemy na wpisowe do klubu. – Zawahał się i dodał: – Też się cieszę, że zostawiam za sobą to bagno.

Chyba nadużywał tego słowa, opisując swoje bezgrzeszne lata.

– Nawet nie chodzi mi o to, co zostawiamy – Agnieszka nie zamierzała zrezygnować z optymistycznego tonu. – Cieszę się z tego, co jest przed nami. Mieszkanie, praca, nowi przyjaciele, sąsiedzi, imprezy, kina, kawiarnie. Mówię ci: będzie super!

Przeciągnęła się, odsłaniając pępek, i Robertowi przeszło przez głowę, żeby zjechać na pobocze. Pobaraszkować w samochodzie? W sumie czemu nie. Nigdy przedtem tego nie robili. Zrezygnował, ponieważ nie chciał, aby go wyśmiała. To głupie, skarcił się w myślach, na pewno by tego nie zrobiła. Najwyżej by powiedziała, żeby się stuknął w głowę, jechał dalej i zaczekał do wieczora, kiedy wynagrodzi mu w trójnasób jego fantazje.

Nie odezwał się, Agnieszka za to kontynuowała radosny monolog.

– Będę kończyła pracę, szła na piechotę do Nowego Światu, tam piła kawę i czekała na ciebie. Wiesz, mam blisko, bo biuro jest na Kruczej. Ty będziesz kończył trochę później...

– Co będę kończył, pracę? – przerwał jej, przełączając wycieraczki na wyższy bieg. – Najpierw ją muszę znaleźć.

– No, nie gadaj, przecież masz robotę – spojrzała na niego zdziwiona.

– Robotę? Masz na myśli to, co załatwił twój stary? Przedstawiciel handlowy w firmie produkującej wiertarki? Nie żartuj, to dobre na przeczekanie, żeby nie głodować. Tak naprawdę dopiero będę szukał pracy. Nie sądzę, żebym na początku miał czas na kawę. – Wszystko to powiedział trochę za ostro i teraz żałował. Co mu, do jasnej cholery, szkodziło uśmiechać się i snuć fantazje o wspólnym wieczorze. Zachował się jak dupek. To, że on ma problem (ma?), bo tyle dostali od jej rodziców, to jeszcze nie powód.

Spojrzał na nią z nadzieją, że nie zauważyła jego tonu i tego, co się za nim kryje. Patrzyła za okno na zalane deszczem pola.

W końcu przerwała milczenie.

– Wiesz, chyba nie jest aż tak źle. To duża firma, daje jakieś możliwości awansu, zrobienia kariery. Tam też pewnie się można jakoś ustawić, trochę zarobić i wtedy spróbować poszukać czegoś innego. Myślisz, że ja po to studiowałam, żeby przez całe życie parzyć komuś kawę? To tylko początek. Za kilka lat będziemy się śmiać i wspominać nasze pierwsze stanowiska.

Robert przełknął rosnącą mu w ustach złośliwą uwagę o jakości wyższego wykształcenia wyniesionego z Wszechnicy Mazurskiej, ich oleckiej Alma Mater, i powiedział:

– Przy kominku w naszym domku w Bieszczadach?

– Tak, przy kominku w naszym domku w Bieszczadach – odwróciła się do niego i uśmiechnęła promiennie, a on odwzajemnił uśmiech. To było ich marzenie, odkąd się znali: kominek w domku w Bieszczadach. A jednocześnie kod, który mówił: OK, przepraszam, czasami jest źle, czasami powiemy coś głupiego, ale łączy nas więcej.

Przed Serockiem znowu trafili na wielką ciężarówkę – tym razem przewożącą jogurty. Robert wiedział, że jeśli jej nie wyprzedzi, będzie się za nią włókł przez całe miasto i potem jeszcze

kilkanaście kilometrów, zanim rozładuje się korek. Zamrugał oczami. Była najgorsza godzina do jazdy. Dochodziła piąta, zapadał zmierzch, jadące sznureczkiem z przeciwka samochody oślepiały światłami, poboczami ciągnęli jeszcze piesi i rowerzyści, białoruskie ciężarówki miały chyba jakiś zlot. W końcu znalazł lukę, wyskoczył z wypełnionych wodą kolein i przejechał na lewy pas.

Przyśpieszył.

Wyrzucane spod kół wyprzedzanego tira wodospady runęły na szybę, chodzące na najwyższym biegu wycieraczki stały się bezużytecznymi gadżetami.

Przyśpieszył.

Był w połowie wyprzedzanego osiemnastokołowca, kiedy zobaczył, że zza górki wyłania się furgonetka. Robert był już za daleko, żeby zwolnić i schować się za ciężarówkę, musiał zaryzykować. Zredukował bieg, wcisnął do oporu pedał gazu i pochylił się nad kierownicą. Widział kątem oka, jak Agnieszka wyprostowała się i złapała za uchwyt na drzwiach. Spokojnie, uda się, zawsze się przecież udaje, pomyślał. Jadący z naprzeciwka samochód zatrafił i zamrugał długimi światłami. Dzieliło ich około pięćdziesięciu metrów. Jemu zostały jeszcze zaledwie dwa do początku kabiny ciężarówki. Minąwszy ją, wyskoczył zbyt gwałtownie z kolein, czuł, jak ocieężała zwykle mazda tańczy i traci na dobre kontakt z szosą.

Do jadącego z naprzeciwka samochodu zostało kilka metrów.

Desperacko docisnął gaz, mając nadzieję, że koła złapią przyczepność, i skreślił kierownicę. Nadsterowny mazdolot zarzucił jeszcze lekko tyłem i wskoczył w koleiny przed tirem tylko po to, żeby jadąc prawie sto pięćdziesiąt na godzinę, znaleźć się tuż za prawie nieoświecłym małym fiatem.

Agnieszka krzyknęła i skuliła się na fotelu, zderzenie było tak pewne, jakby przed nimi jechał nie mały fiat, lecz stał ceglany mur. Mogli albo wałnąć w malucha i mieć nadzieję, że uderzenie wyrzuci ich na pobocze – gdyby zostali na drodze, zmiażdżyłaby

ich cudem wyprzedzona ciężarówka lub jadący z naprzeciwka. Mogli też uciec na drugi pas, uderzając czołowo w dostawczaka. Wszystko trwało ułamek sekundy i Robert nie rozważał tych ponurych możliwości. Instynktownie zjechał na prawo, próbując minąć „malca” od pobocza.

Rosnące w szpalerze drzewa śmignęły tuż obok twarzy Agnieszki, koła zabuksowały po mokrym żwirze, tył samochodu zaczął się zsuwać w kierunku drzew, Robert rozpaczliwie skrzył kierownicą, odpuścił i dodał gazu. Małuch tylko mignął z lewej strony, teraz trzeba było wrócić w swoje koleiny. Pomógł im przypadek. Trafili na zatoczkę autobusową przy przystanku PKS-u, gdzie prawe opony złapały przyczepność na tyle, że udało się zapanować nad samochodem, po raz kolejny w ciągu sekundy, i wskoczyć w koleiny.

Nic nie mówili. Siedzieli nieruchomo, nie patrząc na siebie. Dobrze wiedzieli, jak blisko było tego, żeby ich podróż zakończyła się, zanim na dobre rozpoczęła. Zakończyła się nieodwołalnie.

– Może się zatrzymamy? – zapytała cicho.

– Nigdy. Chybabym się rozpłakał, widząc, jak mijają mnie wszyscy, których wyprzedziłem. Zatrzymamy się już w Warszawie.

– W makdonaldzie?

Zaśmiał się głośno. Nawet u nich w Olecku, głębokiej Polsce B, chodzenie do makdonalda to był obciach. Chodzić do makdonalda to jak ćwiczyć na siłowni albo wydawać całą kaskę na nowe dresy czy przyciemnianie szyb do poloneza. Wiedzieli o tym, lecz lubili to miejsce, zwłaszcza Robert. Wiem, wiem, powtarzał, w bułce jest papier, w kotleciku psia kupa, a całość to zestalony w rakotwórczy pocisk glutaminian sodu. Ale i tak mi smakuje. Dlatego czasami w tajemnicy przed znajomymi wyprawiali się do najbliższego baru McDonald's w Suwałkach na kanapkę i frytki, czyniąc z tego rytuał, hamburgerowe bachanalia. Teraz, w anonimowej metropolii, mogli w świetle reflektorów urządzić sobie prawdziwą ucztę.

– Jasne – odpowiedział.
Zbliżali się do mostu nad Zalewem Zegrzyńskim.

2

Jesteś dupkiem. Jesteś śmieciem w krawacie, amebą ludzką, pieprzoną dziurą w kociej dupie, cwelem swojej korporacji, myślał Wiktor o facecie siedzącym po drugiej stronie biurka, uśmiechając się grzecznie, potakując i starając się zrobić jak najlepsze wrażenie na kimś, od kogo zależała jego przyszłość.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć – kontynuował śmieć. – Jeszcze pięć lat temu poświęciłbym pół pensji (akurat!) i cały swój czas, żeby przekonać szefów o konieczności zatrudnienia pana. A teraz? Dlaczego miałbym pana zatrudnić, proszę mi to powiedzieć, proszę mnie przekonać – dziura w kociej dupie uśmiechnęła się z zawodowym smutkiem i złożyła zadbane dłonie w wieżyczkę.

Wiktor zauważył, że najmniejszy pulchny paluszek jest zdobny w sygnet z logo firmy. Milczał przez chwilę i zastanawiał się, jak zacząć, żeby zabrzmiało to wiarygodnie, pewnie i profesjonalnie. Czuł swój pot, który pachniał alkoholem, i zastanawiał się, czy pan Marek Koteczek, Human Resources Senior Manager, też to czuje.

– Nie ukrywam, że już wówczas (źle, źle! dlaczego nie powiedziałeś „zawsze”) myślałem o waszym wydawnictwie. Mimo sukcesów, które odnosiłem w dzienniku, szukałem dobrej pracy w dobrym miejscu, nawet za niewielkie pieniądze. Pracy, która dałaby mi możliwość ruszenia do przodu. A nie tylko ganiania sześć dni w tygodniu po czternaście godzin za sensacyjnymi wydarzeniami. Wy byliście idealni. Piękna tradycja, wydawane pisma, kolorowe, ale z górnej półki, zaplecze za granicą, doskonała opinia na rynku.

– I dlaczego pan nie przyszedł?

Pieprz się, kutasie. Na pewno nie będę o tym opowiadał.

– Tak się złożyło.

– Tak się złożyło, że najpierw pan przepadł na rok, a potem znalazł się już na dnie, jako alkoholik? – senior Koteczek mówił to z autentycznym smutkiem, co widać było jego specjalnością. Zapewne zwalniani pracownicy opuszczali ten pokój ze łzami w oczach, żałując, że sprawili szefowi ból.

Wiktor poczuł, że musi wyjść jak najszybciej. Wiedział, że nie będzie łatwo, ale nie przypuszczał, że ta głupia rozmowa zamieni się w upokarzającą psychoterapię. „Głupio mi o tym mówić, doktorze, ale piłem, a wcześniej podglądałem swoją matkę i zakładałem jej rajstopy. Tak się wstydzę”. Spokojnie, powtarzał w myślach, tylko spokojnie, robi to specjalnie, żeby cię wyprowadzić z równowagi, chce sprawdzić, jak reagujesz na stres. Wyluzuj, chłopie, uśmiechnij się, pokaż, jaki jesteś opanowany.

– Widzę, że zna pan mój życiorys nie tylko z tego, co napisałem w CV – czuł, jak wymuszony uśmiech rozdziera mu twarz. – Stare dzieje. Każdemu zdarzają się gorsze chwile, tym gorsze, z im wyższego konia się spada.

– Jasne – odparł senior i westchnął ze smutkiem. Zerknął do papierów leżących na biurku. – Przed trzydziestką zyskał pan sławę reportera sądowego, potem święcił pan pasmo triumfów. Zgadza się?

– Tak jakby.

– Opowie mi pan o tamtej sprawie?

Jasne, chłopie, zaspokoję twoją drobnomieszczańską ciekawość, choć nie ma to nic wspólnego z rozmową o pracy. Jak każdy, masz nadzieję, że opowiem ci jakieś makabryczne szczegóły, których nigdy nie opisałem. Szczegóły, o których będziesz mógł myśleć wieczorem.

– Bardzo chętnie, choć nie sądzę, żeby dowiedział się pan czegoś nowego. Jeszcze przed moim, nazwijmy to, odkryciem był to najgłośniejszy proces tamtych lat. Trójka nastolatków,

w tym jedna dziewczyna. Zostali oskarżeni o porwanie, gwałt (o, ale ci oczka błysnęły), torturowanie i usiłowanie zabójstwa szesnastolatki. Miała na imię Honorata. Daruję panu opis tego, co widziałem... w aktach, ale potraktowano ją jak rzecz. Za zrobienie tego psu powinno się iść siedzieć na wiele lat.

– O ile dobrze pamiętam, była niema? Wie pan, jak ją znaleźli. To z powodu szoku?

– Nie, wyrwano jej język. Mogę zapalić?

– Przykro mi, u nas w firmie się nie pali. Jesteśmy z tego bardzo dumni.

Wiktor mimo to wyciągnął paczkę lucky strike'ów z kieszeni koszuli i wyjął papierosa. Obracając go w palcach, zastanawiał się, co jeszcze może powiedzieć amebie. Z jednej strony, pewnie i tak nie dostanie tej roboty, chyba nawet nie chce, a mówienie o tamtej sprawie nie było dla niego żadną frajdą. Z drugiej, ciągle jest szansa, że ten zadbany, doskonale ostrzyżony i wymodelowany na siłowni przydupas wysłucha historii i wykrzyknie: „Takiego człowieka szukaliśmy! Pójdź w me ramiona, Wiktorze!”. A jeśli tak wykrzyknie, to on będzie miał kasę. A jak będzie miał kasę, przestanie żyć jak zwierzę. Prosty rachunek.

– To był proces wybitnie poszlakowy – ciągnął. – Już samo wskazanie sprawców było problematyczne. Dziewczynie pokazywano katalogi ze zdjęciami ludzi, którymi „interesuje się policja”. Na widok jednego zareagowała tak histerycznie, że zorganizowano okazanie. Wie pan, jak to wygląda: pięciu mniej więcej podobnych facetów stoi obok siebie, a pokrzywdzona osoba pokazuje na jednego z nich. No więc jak ustawiono tych ludzi i przyprowadzono dziewczynę, od razu wskazała jednego. Przyłgnęła do szyby naprzeciw niego i zaczęła wyć tak, że musiano sprowadzić pomoc.

– I co w tym problematycznego?

– To, że na okazaniu rozpoznała innego człowieka niż wcześniej na zdjęciu.

Wiktor złamał papierosa, wrzucił do kosza na śmieci i wyjął następnego. Delikatnie masował bibułkę, chcąc równo rozprowadzić tytoń. Bezsensowna mechaniczna czynność, pomyślał. I tak nie zapalę. Kiedy nabrałem tego idiotycznego zwyczaju? Chyba właśnie w sądach. Paweł z „Gazety” zawsze nerwowo męczył papierosa, a ja robiłem wtedy to samo co on. Kiedy rozpoczęcie rozprawy odwlekało się o dwie godziny, a przerwa zmieniała się z piętnastominutowej w godzinną, schodziliśmy na dół do bufetu, na jajko w sosie tatarskim i papierosa. Jednego, drugiego, dziesiątego. Paliliśmy i gadaliśmy, gadaliśmy i paliliśmy. To był fajny czas. Boże drogi, ile to już lat. Wiktor zauważył, że prawie cały papieros wysypał się na biurko cwela swojej korporacji. Facet patrzył na tytoń jak na zarazki trądu rozsmarowane na kanapce.

– Z tego, co pamiętam, tutaj wchodzi pan na scenę i zaczyna recytować swoją kwestię?

Ale z ciebie poeta, psiamać, z takimi porównaniami marnujesz się jako kadrowy.

– Ładnie powiedziane. Największym problemem w tej sprawie było to, że nikt nie wiedział, gdzie dziewczynę przetrzymywano. Na pewno nie w żadnym z mieszkań oskarżonej trójki, w żadnym lokalu znanym im, ich kumplom, rodzinie, dalekim krewnym i tak dalej.

Wyjął następnego papierosa.

– Coś mnie tknęło jednego dnia, to już było lato, kiedy rozprawa zakończyła się trochę wcześniej. Prawdę mówiąc, nie chciało mi się już opisywać kolejnego bełkotliwego bieglego, wszyscy i tak mówili wprost, że całe oskarżenie to fiasko. Pojechałem do Śródmieścia i wałęsałem się po kwadracie ulic przy placu Konstytucji. Tam mieszkali wszyscy oskarżeni, a także świadkowie. Jeśli ci ludzie byli związani ze sprawą, w co coraz mniej wierzyłem, wszystko musiało rozegrać się gdzieś tutaj.

Wiktor przerwał.

– Wie pan co? Pan sobie zapali, tylko niech pan stanie przy oknie.

No proszę, przerwę jeszcze raz i dasz mi nie tylko pracę, ale i podwyżkę.

– Nie, dziękuję – westchnął, spojrzał na papierosa, na wypełniającą zaokienną rzeczywistość szarą mgłą, potem na leżącą przed nim wizytówkę bubka. Była bardzo ładna, starannie wykonana.

Nie dam rady, pomyślał, bezwiednie kręcąc głową, zależy mi na tej pracy, zależy mi na jakiegokolwiek pracy, byle polegała na pisaniu, ale nie dam rady.

– Panie kierowniku... – zaczął.

– Panie Marku – przerwał pan kierownik. – Panie Marku najzupełniej wystarczy.

– Nie wiem, dlaczego pan chce, żebym to opowiadał. Cała historia ze szczegółami była opisana chyba wszędzie, a dla mnie, przyznam się panu, wspomnianie tego jest bardzo trudne. Wołałbym tego nie robić, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Senior Marek milczał, a Wiktor wiedział, że właśnie teraz ważą się jego losy. To niemożliwe, że jego życie zależy od tego obcego faceta. Zadowolonego z siebie bogatego bubka, który pewnie gra w squasha, pieprzy swoją – wyglądającą jak Miss Świata – żonę w stringach i odbiera genetycznie udane dzieci ze szkoły społecznej. Co on może wiedzieć o tym, jak się spada, spada i spada. Tak długo, że przestaje się wierzyć już nie tylko w to, że można wspiąć się w górę, ale nawet w to, że w ogóle istnieje jakieś dno. W końcu człowiek przestaje czekać na uderzenie i godzi się z tym, że istnieje tylko spадanie, a jedyne urozmaicenie polega na tym, że czarne ściany studni stają się czasami szare, czasami tak cienkie, że widać poza nimi ruch i kolor. Ale to się zdarza bardzo rzadko. Prawie wcale. Trudno. Może po prostu tamtemu się udało, a jemu nie.

Jeszcze zanim Senior Manager się odezwał, Wiktor już wiedział, jaka będzie decyzja.

– Chce pan u nas pisać reportaże, teksty społeczne. To wymaga wrażliwości, a jednocześnie dystansu. Trzeba umieć wejść w historię, przejąć się nią, a potem – pstryknąć palcami – wyjść, stanąć z boku i opisać tak, żeby wstrząsnęło innymi. Sprawdzam, czy pan to potrafi.

Wiktor odpowiedział tylko dlatego, że nie chciał wyjść bez słowa.

– Ciekawe. A ja myślałem, że pana podnieca to, co moja opowieść mogłaby panu zaoferować. Połączenie seksu, gwałtu, przemocy, może nawet bestialstwa, i na dodatek wszystko autentyczne, niemal z pierwszej ręki. A pan mnie po prostu sprawdza.

– Niepotrzebnie stara się pan być złośliwy. Jest mi szalenie przykro, tym bardziej że pańskie teksty były dla mnie kiedyś bardzo ważne, ale widzę, że pan nie potrafi tego, na czym mi, nam, naszej firmie najbardziej zależy. I proszę to potraktować jako przyjacielską radę, jest pan niepotrzebnie agresywny, co nie pomaga w takich rozmowach. Do widzenia.

Spiędalaj.

Wiktor wstał, nie zadając sobie trudu, by uprzątnąć biurko z drobin tytoniu, wyszedł. Nie myślał już ani o seniorze Koteczku, ani o Honoracie, ani o tym, co kiedyś przeżył. Myślał o tym, że zaraz się zacznie i że musi jak najszybciej dotrzeć do Amatorskiej.

Znalezienie miejsca przed Carrefourem koło Trasy Toruńskiej zajęło Robertowi i Agnieszce kwadrans, potem musieli biec w strugach deszczu z najodleglejszego krańca parkingu do wejścia. Tyle poświęcenia dla takiego gównianego żarcia, myślał Robert. Co za ironia, żeby świątynia konsumpcji wymuszała na swoich wiernych prawdziwie eremickie umartwienia.

Zamówił kanapkę z rybą, której Agnieszka nie cierpiała i którą zawsze nazywała makgówniakiem (potem ci przez tydzień jedzie z pyska, marudziła), i oglądał zdobiące ściany reprodukcje nowoczesnego malarstwa.

– Zwykle są zdjęcia – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Co?

– No wiesz, zwykle wiszą zdjęcia Empire State Building, Golden Gate czy jakiś inny Elvis. Nie wiedzieć czemu zazwyczaj czarno-białe. A tutaj są obrazy, pierwszy raz się z tym spotykam.

– I co o nich sądzisz?

– Sądzę, że są gówniane. Jedyne, co je łączy ze sztuką, to to, że są prostokątne, oprawione w ramy, a w środku jest coś kolorowego. Ale to samo można powiedzieć o billboardzie reklamującym promocję T-shirtów czy tablicy informującej o budowie murowanego kibla. Choć to jest nawet gorsze. Billboard i tablica mają treść, coś komunikują. A to? Żadnej treści, żadnej formy, pustka.

– Przesadzasz. Po prostu nic w tym nie widzisz, a inni może dostrzegają.

– Ale to ich sprawa, nie sztuki. Nie odbierają komunikatu artysty, tylko coś tam sobie roją. Ci sami ludzie, gdyby im pokazać taką tablicę informacyjną, tyle że napisaną w suahili, znaleźliby tam obraz świata. Niesamowite, w jaki sposób można przedstawić chaos, mówiliby, za pomocą tych nierównych znaków, a jednocześnie porządek, transcendentny zamysł zorganizowania chaosu, nadania mu ulotnych ram. No i to złote tło! Rewelacja. Kto wie, może by nawet cmokali, jak to piszą w powieściach. Widziałś kiedyś, żeby ktoś cmokał z zachwyty? Jak to może brzmieć? – Upił łyk coli i wydał ustami odgłos wilgotnego plaśnięcia. Siedzący obok poruszyli się zaniepokojeni. Robert cmoknął jeszcze głośniej i pstryknął palcami.

– Przestań! Co za wariat. Jeszcze ktoś zawoła ochronę. Cmokać należy dyskretnie i z uznaniem – powiedziała i cmoknęła delikatnie w jego kierunku w sposób, który czynił z niej

lubieżną boginię seksu. Jej wargi, a miała dość duże wargi, może nawet trochę za duże, ale Robertowi to się podobało, ułożyły się w kształt serduszka. Jak na filmie rysunkowym.

– Taaa... rób tak dalej, to się będą na ciebie rzucali w każdej galerii. – Robert znowu poczuł mrowienie. Co za dzień.

– Będę tak robiła tylko na twoich wernisażach i kiedy będziemy sami, i tylko kiedy będę pewna, że to ty się na mnie rzucisz.

Robert spał się. Wiedział z doświadczenia, że rozmowy o jego malowaniu, o planach z tym związanych, zawsze się źle kończyły. Ona traktowała je jako nieszkodliwe hobby, coś w rodzaju zbierania znaczków czy starych opakowań po herbacie, a dla niego malowanie było (prawie) wszystkim. Czymś ważniejszym nawet od niej, czego ona na pewno nigdy nie zrozumie. Czymś, czym można się zająć albo na dobre, albo wcale. Jeśli chce się to robić dobrze. Poprawka: jeśli chce się to robić prawdziwie. Już chciał zacząć dyskusję, która skończyłaby się pewnie długim milczeniem i cholernymi łzami, pieprzonym orężem, o który rozbijał się każdy wystrzelony z jego strony pocisk, ale dał spokój.

– Właśnie tak – potwierdził i zmienił temat. – Myślisz, że będziemy tutaj mogli przychodzić na piechotę? Spójrz, wi-dać nasz blok – wskazał na szarą bryłę, zasłaniającą kawałek horyzontu.

– Jasne, na niedzielne spacer. Weźmiemy naszego pieska...

– Żadnego pieska!

– No to kotka...

– Żadnego kotka! W ogóle niczego, co ma więcej nóg ode mnie. Papugi też nie! Rozmawialiśmy o tym milion razy. Nie będziemy trzymać żadnego sralucha na dwudziestu metrach kwadratowych na ósmym piętrze.

– Przecież tyle osób tak robi, proszę, chociaż malutkiego jamniczka – jęknęła. – U mnie w domu było tyle zwierząt, nie wyobrażam sobie życia bez nich.

– U ciebie w domu był prawie hektar ogrodu i można tam było otworzyć małe zoo z delfinarium. Tutaj będziemy mieszkali w betonowej klatce. Nie powinno się trzymać żywych stworzeń w takich miejscach.

– Tyle osób trzyma... – spojrzała na niego jak... pies łaszący się do pana.

– No właśnie, zamierzam zdobywać ich adresy i pisać donosy do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Kupiłem już specjalny zeszyt. Idziemy? Prawie siódma.

A jeśli siódma, to czas na pracę fizyczną. Ciężarówka z ich dobytkiem, zresztą nad wyraz skromnym, miała przyjechać jutro rano, ale drobniejsze rzeczy, takie jak książki, płyty, trochę bibelotów i jego rzeczy do malowania, firma przeprowadzkowa zobowiązała się dostarczyć dzisiaj.

Czuł się teraz lepiej, znacznie lepiej, może nawet był szczęśliwy. Wychodząc, objął Agnieszkę i pocałował ją w ucho, od razu przyłgnęła do niego i zamruczała z zadowolenia. Od domu dzielił ich kilkuminutowy marsz do mazdy i pięćset metrów jazdy autem. Zaczynali nowe życie.

4

Kiedy Robert z Agnieszką lawirowali między samochodami na mokrym parkingu, zapomniawszy już o swoim wyścigu z ciężarówkami-mordercami, osiemnastoletni Kamil Źródłaniec siedział z trójką przyjaciół w pokiereszowanym lanosie swojego ojca. Palił, obserwował, jak krople wody tworzą na przedniej szybie małe strumyczki, i zastanawiał się, co mu powie (ojcu, nie lanosowi).

Siedział tak już trzecią godzinę, myśląc cały czas o tym samym, i coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że żaden błyskotliwy pomysł nie uratuje jego lekkomyślnej dupy. W końcu będzie musiał uruchomić silnik, opuścić zaciszną kryjówkę

w podwórku przy Namysłowskiej, pojechać na Bródno, postawić samochód na parkingu, wrócić do mieszkania na piątym piętrze, położyć dokumenty z kluczami na kredensie i...

– Może po prostu zostaw kluczyki, idź do siebie, a rano będziesz rznął głupa – zwerbalizowana tym razem przez Norberta „Norbiego” myśl kręciła się cały czas we wnętrzu auta jak nieznosna mucha. Nikt się nie odezwał.

Łańcuch wydarzeń, który doprowadził do pokaleczenia „siwej strzały” (tak swój obciachowy pojazd zwykł nazywać ojciec Kamila), rozpoczął się o jedenastej rano, kiedy przedpołudniowo pustymi i jeszcze pogodnymi ulicami Kamil jechał Puławską w stronę Piaseczna. Pamiętał nawet, o czym wówczas myślał. Najpierw wyobrażał sobie, że oddaje Michałowi notatki do matury, jego nie ma, drzwi otwiera jego panna, cudna Sylwia, w koronkowej bieliźnie i pończochach, i pyta, czy nie ma nic przeciwko temu, że jest nieubrana. Jasne, że nie, odpowiedział w myślach i kontynuował nielojalną wobec przyjaciela fantazję. Głowił się, czemu takie sytuacje zdarzają się tylko w pornosach, a normalnie trzeba prowadzić przez pół imprezy dyskusje o braciach Coen, żeby nad ranem, walcząc ze snem, pogłaskać kawałek cycka.

A swoją drogą, zastanawiał się, dojeżdżając już do Auchan przed Piasecznem, czy to, że ma tak długie nazwisko, znacznie dłuższe niż na przykład Coen czy Lynch, oznacza, że nie zrobi kariery? A może, póki czas, zmienić je sobie na, powiedzmy, Źródło, albo bardziej międzynarodowe, na przykład: Source. Camil Source? Ale to nie brzmiało dobrze, a zanim wymyślił coś lepszego, dojechał już do kumpli, którzy czekali w pustej części parkingu przy supermarkecie.

Nauczyciele w przypływie dobrego humoru nazywali ich czterema muszkietierami, ale częściej czterema jeźdźcami Apokalipsy. Tego dnia mieli sobie zasłużyć, jak nigdy dotąd, na miano jeźdźców. Mieli zrealizować najbardziej wariacki ze swoich pomysłów. Głupi, nieodpowiedzialny, szalony, niebezpieczny,

brawurowy, i jeszcze raz głupi. Wspaniały. Jeden z tych, które się urzeczywistnia tylko wtedy, kiedy ma się osiemnaście lat, a połowę duszy wypełnia przekonanie o własnej nieśmiertelności.

Wróć. Feralny łańcuch wydarzeń nie zaczął się dziś rano, ruszył pod koniec września, kiedy świętowali zdany test z angielskiego – pierwszy krok do czekającego ich na wiosnę egzaminu – cha, cha! – dojrzałości. Zaczęło się od wymieniania tytułów, w których zagrała Sandra Bullock. Seba miał je wszystkie skompletować na maraton filmowy, poświęcony amerykańskiej aktorce z niemieckim rodowodem. Z Fraülein Bullock – tutaj byli zgodni – każdy by się chciał przespać, a potem rano wygrzebać ją z pościeli, jeszcze raz przelecieć i zrobić jajecznicę. Doszli do starego filmu *Speed*, w którym Sandra (z seksowną grzywką opadającą na czoło) kieruje zaminowanym autobusem pełnym pasażerów. Terrorysta-sadysta, montując bombę, ustawił ją tak, że wybuchnie, jeśli autobus zwolni poniżej pięćdziesięciu mil na godzinę. Cały film to jedna wielka szaleńcza jazda srebrnym autobusem. Właśnie usiłowali sobie przypomnieć kolor obciségo topiku Sandry, kiedy Kamil powiedział:

– Zrobię to w Warszawie. Przejadę Puławską od Auchan w Piasecznie do Silver Screenu, nie schodząc ani razu poniżej pięćdziesiątki. Zakład?

Przyjęli, nie mogło być inaczej. Niecałe trzy tygodnie później cała czwórka zapięła pasy i mimo psującej się pogody ruszyli.

– To była niezła jazda – mruknął Seba z tylnego siedzenia. – Może zwal to na mnie. Ostatnio nieźle mi się układa ze starymi, zbiorę opierdół, dostanę po kieszeni, i tyle. Serio mówię, potraktuj to tak, jakbym kupił bilet. Było warto, zapłaciłbym i więcej.

– Kurwa jebana mać. – Kamil ukrył twarz w dłoniach i oparł głowę na kierownicy. – Nie da rady, człowieku. Ja zawsze zbieram tak samo, wszystko jedno, czy zbiję szklanekę, wrócę naprany, czy rozwalę samochód.

– Tej Wilanowskiej nigdy nie zapomnę – jęknął Maciek.

Maciek był pilotem wyprawy. Wcześniej we dwójkę kilkadziesiąt razy przejechali trasę o tej porze, sprawdzając ustawienia świateł i opracowując optymalny plan. Kamil prowadził, Maciek podawał tylko liczby z notesu: Płaskowickiej, przyspiesz do siedemdziesięciu, doskonale, następna Mysikrólika, musisz przejechać na żółtym... zwolnij do sześćdziesięciu... przy Poleczki widać czerwone? OK, zwolnij do pięćdziesięciu i wlecz się tak, to dojedziemy na zielone.

Do Wałbrzyskiej szeroką trzypasmową jezdnią przejechali bez kłopotów, kilka razy tylko Kamil musiał niebezpiecznie lawirować między samochodami. Przed Wałbrzyską przystopował ich autobus linii 505, który gwałtownie zajechał im drogę. Nie było jak się przecisnąć, a na światłach przy Wałbrzyskiej mieli przelecieć w ostatniej chwili i na pełnym gazie. Kamil zjechał na prawy pas, ocierając lusterkiem o autobus i omal nie zwalniając poniżej pięćdziesiątki, docisnął, ale dwadzieścia metrów przed światłami zobaczył już czerwone. Docisnął jeszcze bardziej. Przeleciał przez skrzyżowanie przy wtórze radosnego ryku kolegów, kiedy na światłach samochody już ruszały. To była jazda. Maciek wrzeszczał: szybciej, kurwa, szybciej!

Przed nimi było jedno z większych skrzyżowań w Warszawie. Puławska i aleja Niepodległości zbiegały się tutaj, całość przecinała linia tramwajowa i biegnąca w poprzek szeroka aleja Wilanowska. Od strony Kamila skrzyżowanie wyglądało jak litera Y, przekreślona w połowie poziomą kreską. Plan był taki, że mijają w ostatniej chwili Wałbrzyską i tak samo Wilanowską. Ale już mieli sto metrów w plecy. Nadrobiliby spokojnie, gdyby nie przejście dla pieszych w połowie, po którym grupa turystów ze Wschodu, z kraciastymi torbami, przechodziła z tramwaju na bazarnek przy Wałbrzyskiej. Kamil zaczął wrzeszczeć, wcisnął klakson i przestraszeni Ruscy się rozbiegli, ale mimo to musiał trochę zwolnić. Kiedy byli dwieście metrów przed światłami, żółte zmieniło się na czerwone. Sto metrów dalej widzieli już samochody przemierzające skrzyżowanie.

To był dobry moment, żeby zrezygnować. Prędkościomierz pokazywał sto dziesięć kilometrów na godzinę. Nikt się nie odzywał. Patrzyli na sznur samochodów i chcieli, żeby Kamil odpuścił, ale wstydzieli się powiedzieć. Kamil wstydził się odpuścić. Prędkościomierz wskazywał sto, dziewięćdziesiąt, siedemdziesiąt, sześćdziesiąt... Zostało nie więcej jak trzydzieści metrów.

– Chcecie rozrywki, maminsynki? – wrzasnął. – No to jazda! Trzymaj klakson, Macieju! – ryknął i zrealizował to, co wymyślił przed sekundą.

Wskoczył na chodnik z prawej strony, żeby ominąć stojące na światłach samochody i pokazać tym jadącym z lewej, że na drodze jest szalony jeździec. Potem, zamiast pojechać prosto, skręcił z piskiem opon w prawo, zmuszając białe seicento do ucieczki na pas zieleni. Jechał teraz w stronę Wisły, ale musiał jak najprędzej zawrócić i wskoczyć z powrotem na Puławską, inaczej wszystko weźmie w łeb. Kiedy licznik pokazał siedemdziesiąt, skręcił kierownicę, zaciągnął hamulec ręczny i gdy samochód zaczął się obracać, puścił hamulec, zredukował bieg, wcisnął gaz i po chwili był znów na Puławskiej, mknąc w kierunku centrum. Strzałka prędkościomierza pokazała w czasie nawrotki pięćdziesiąt pięć. Cała czwórka wyła z radości, silnik lanosa ryczał jak zarzynane zwierzę, ponad połowę drogi mieli za sobą.

Na resztę był prosty sposób. Koło starej skoczni narciarskiej należało przejechać zaraz po zapaleniu się zielonego i trzymać równo dziewięćdziesiąt pięć na godzinę. Spóźnili się nieco przez poprzednie manewry, ale nie więcej jak kilka sekund – do nadrobienia. Następne trzy skrzyżowania minęli bezboleśnie, raz tylko wjeżdżając na tory tramwajowe przy Woronicza, żeby ominąć ruszające nieśpiesznie samochody. A potem „siwa strzała” zamieniła się w „ofiara siwego chirurga”.

Przed kawiarnią Mozaika na światłach ruszały samochody, których nie dało rady ominąć inaczej, jak tylko wjeżdżając na chodnik. To zresztą było w planie. Dzień wcześniej Maciek otoczył ten fragment chodnika taśmą, żeby nikt się tam nie kręcił.

Nie pomogło. Taśma była zerwana, na chodniku stało srebrne BMW. Kamil minął limuzynę i – nie mając innego wyjścia – wjechał między drzewa na skwerku. Pierwsze minął, drugie urwało lewe lustro, trzecie urwało prawe, zamieniło prawy bok lanosa w płaskorzeźbę i wyrwało tylny zderzak. Wjeżdżając na ulicę tuż przed autobus linii 514, zawadził jeszcze lewym tylnym błotnikiem o zielony zardzewiały słupek. Prędkość została utrzymana.

Do Silver Screenu, czyli zbiegu Puławskiej z Rakowiecką, dojechali już bez przygód. Kamil wygrał. Trzech kumpli miało mu teraz stawiać do matury browar, ile tylko zażąda. A także zrobić wszystko, aby rzucić w objęcia Kamila Renatkę, ich niedostępną, ulepioną z najczystszej odmiany seksu koleżankę. Było o co walczyć.

Tak myślał wtedy, teraz był bliski zmiany zdania. Ale tylko trochę.

– Dobra, nie ma co jęczeć. Jadę na chatę, opowiadam prawie prawdziwą historię o tym, jak autobus zajechał mi drogę i musiałem wjechać między drzewa, żeby nie zmasakrować przechodniów, i...

– I sam zostajesz zmasakrowany?

Tak, i sam zostaję zmasakrowany. Bywa. Było warto. Daję wam dwa tygodnie na załatwienie Renatki. No i odezwę się jutro. Pa.

Kumple wysiedli z lanosa, Kamil patrzył za nimi tęsknym wzrokiem. Osiem minut, może dziesięć, pomyślał, uruchamiając silnik. Tyle mu zajmie dojechanie na Bródno, odstawienie samochodu na parking, zamknięcie bramy, pomachanie pokrzywionemu dziadkowi parkingowemu, dojście do bloku i wjazd na piąte piętro. Powiedzmy, że przed kratą na korytarzu jeszcze trochę zamarudzi. No dobra, może nawet piętnaście minut, albo i dwadzieścia, jeśli brama na parking będzie zamknięta na kłódkę. Niewiele, ciągle niewiele. Czego się boi? Jest dużym chłopcem, który miał stłuczkę. Wielka rzecz. Poza tym było warto. Naprawdę.

Za co lubię kawiarnię Amatorska, zapytał siebie Wiktor. Ten mały, duszny, peerelowski lokal, gdzie wszystko jest jak z lat osiemdziesiątych. Tapicerowane czerwonym skajem stołki barowe, przeszklona lodówka z wuzetkami, tleniona bufetowa, czarne stoliki, każdy z serwetką nakrytą szkłem, ze sztucznym rumiankiem w białym wazoniku „Społem”. Za co lubię ten pieprzony skansen?

Przede wszystkim za lustra. Wokół ścian, na wysokości lamperii, biegnie czarny, politurowany blat. Można przy nim usiąść. Usiąść i patrzeć w lustra, którymi wyłożono ściany nad blatem. Prosty zabieg architektoniczny, który powiększa optycznie pomieszczenie, miał w Amatorskiej zupełnie inny sens. Nikt nigdy nie pił samotnie. Choćbyś był jedynym klientem, bufetowa zemdląła za kontuarem, a kuchenna zatrzasnęła się w kiblu – nigdy nie będziesz sam. Zawsze po drugiej stronie będziesz miał chętnego do wypitki i dyskusji kumpla. Tak, lustra czyniły z Amatorskiej kultową knajpę samotnych znerwicowanych przegranych.

Wiktor lubił wpaść tutaj i zamówić cztery pięćdziesiątki. Bufetowa nie pytała, po co cztery, nie patrzyła z naganą, nie proponowała coli, nie drażyła, jaka to ma być wódka i czy na pewno nie woli džinu, bo jest właśnie promocja. Pierwszą wypijał od razu przy barze, a pozostałe zabierał do korytka, jak nazywał czarny blat. Tam rozpoczynał rytuał przeciągania własnej duszy znad krawędzi czegoś, co było straszne, do krainy tego, co było szare, znane, mgliste i przynosiło ukojenie. Stawiał trzy pięćdziesiątki na blacie i czekał. Najpierw należało wywabić potwora.

Wypicie wszystkiego od razu byłoby jak wrzucenie trzech granatów do pieczary smoka. Może by się i na chwilę schował, ale i tak by zaraz wylazł, strasznie wkurwiony. Należało poczekać, aż bestya wylizie ze swej nory. Nie trwało to długo. Najpierw

poczuł, jak drżą mu dłonie i zaczyna drętwieć lewe ramię. Poruszył kilka razy barkiem, chrupiąc stawem, ale drętwienie nie przechodziło. Wręcz przeciwnie, powyżej łokcia zaczynał czuć ból. Nie był to ból przetrenowanego mięśnia albo stłuczenia, obejmował całe ramię, a jego źródło znajdowało się w środku, może w kościach. Nagle zabolało mocniej, Wiktor skulił się, ściskając bolące ramię dłonią, przez głowę przemknął mu cień paniki. Zawał, Boże drogi, ratuj mnie, to zawał. Czytał o tym, zawsze tak się zaczyna. Stres nie do zniesienia (jak dzisiaj), niemożność wyrzucenia z siebie napięcia (jak zawsze), serce pompuje krew z dużym ciśnieniem, którego mózg nie potrafi opanować, przeciążony mięsień sercowy zaczyna słać rozpaczliwe sos w postaci bólu, który obejmuje lewą część ciała, lewe ramię zwłaszcza (!!!), a potem serce kurczy się, żeby już się nie rozkurczyć – Wiktor słyszał, jak piskliwe są jego myśli.

Wypił drugą pięćdziesiątkę. Nie musiał czekać, aż wódka spłynie do żołądka, stamtąd dostanie się do krwi, z krwią do mózgu i w końcu go uspokoi. Wystarczyła mu świadomość, że już zapoczątkował proces, żeby poczuć się lepiej. Smok dostał granatem w pysk. Pora na drugą rundę.

Ramię odpuściło. Na tyle, że mógł sobie dokładnie przypomnieć dzisiejszą rozmowę. Czy była dla niego zaskoczeniem? Nie. Chyba nie był tak głupi, żeby liczyć na cokolwiek. Każda uczelnia wypłuka przecież tysiące młodych, silnych ludzi bez nałogów, którzy są w stanie pracować dowolną liczbę godzin za dowolnie niską kasę. Jaką on ma nad nimi przewagę? Doświadczenie, inteligencję, talent literacki? Co to kogo interesuje. Żaden z tekstów, które dziś się ukazują, nie wymaga od swojego autora żadnej z tych rzeczy. Wystarczy nie robić błędów ortograficznych. A i od tego jest korekta. Głupi ludzie piszą głupie teksty, żeby w nudnych gazetach mogli je przeczytać jeszcze głupsi.

A jednak nie odpuściło. Wręcz przeciwnie, z przerażeniem zauważył, że nie jest w stanie podnieść leżącej na blacie ręki. Była

jak sparaliżowana. Kiedy poruszył ciałem, spadła bezwładnie ze stołu na udo, uderzając go takim bólem, że mało nie krzyknął. Przycisnął głowę do piersi, łapiąc zębami kołnierz koszuli. Czuł, jak ból wędruje. Pulsując, opuścił ramię, minął obojczyk i szedł niżej, chwytając za mięśnie z lewej strony klatki piersiowej. Szarpnięcie prawie zrzuciło go ze stołka. Przesadził, tym razem przesadził, zamiast pójść od razu do lekarza i ocaleć, umrze na podłodze Amatorskiej, nie pożegnawszy się z córką, zanim jakaś karetka przebieje się tutaj w popołudniowych korkach. Dlaczego był taki głupi? Może jeszcze nie jest za późno, trzeba wezwać pomoc! Już chciał krzyczeć, kiedy mocny, męski głos odezwał się w jego głowie. Weź się w garść, chłopie, mówił, dobrze wiesz, że to zwyczajny atak. Pewnie cię kiedyś zabije, ale jeszcze nie teraz. Pij!

Wiktor wypił trzecią pięćdziesiątkę i oparł głowę na rękach. Dyszał. Rzucił okiem na kumpla po drugiej stronie. Wyglądał, jakby zobaczył własną śmierć. Wiktor pokiwał mu przyjaźnie.

Wiedział, że najgorsze przed nim, ale jak zwykle miał nadzieję, że ominie ostatni etap. Próbował myśleć o sprawach niewywołujących emocji. Weronika? Nie, za bardzo boli. Ostatnie cztery lata? Nie, nie i jeszcze raz nie. Praca, kiedy był na topie? Może, przecież miał dobre momenty, uśmiechnął się na wspomnienie swojego nazwiska w gazecie, teksty obyczajowe, sądówki. O Boże, nie! Najdalej, jak najdalej od tego! To ten Koteczek, powinien łeb mu ukręcić, przywołał demony. Zgiń, przepadnij, a razem z tobą wspomnienia, które wywołałeś dla swojej uciechy. Boże, Boże, nie wierzyłem ostatnio zbyt mocno, ale błagam, zlituj się teraz nade mną. Zobacz, żegnam się ukradkiem pod stołem, pamiętam słowa modlitwy. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, bądź królestwo Twoje jako w niebie, tak i na ziemi, nie, nie tak, pomyliłem, przepraszam, Boże, w domu sobie przypomnę, tylko mnie nie zabijaj. Matylda? Tak, Matylda, córeczka moja, moje śliczności, tak długo cię nie widziałem. A byłaś taka malutka, mieściłaś się

cała na kolanach, a potem, jak już byłaś duża, zawsze pierwsza biegłaś się ze mną przywitać i zawsze chciałaś jednego buziaka więcej, pamiętasz? Jesteś jedynym dobrem, co mnie spotkało, jedynym, co mi się udało. Widzisz, teraz też mnie uratujesz, już mi lepiej, przecież oddycham. Właśnie, oddycham, choć boli, a jakbym miał zawał, to nie mógłbym oddychać, dusiłbym się, to tylko głupi atak.

Wyprostował się i wciągnął nosem powietrze, weszło płytko, zbyt płytko, jakby dalej miał płuca wypchane kurzem. Spróbował jeszcze raz, bez rezultatu. Tym razem to już nie był cień paniki, owo uczucie, które nim zawładnęło. Była to wielka, muskularna, wypasiona, rozwścieczona panika, najbardziej wredna z panik, która jedną rękę wepchnęła mu w usta, a drugą ścisnęła serce, łamiąc przy tym wszystkie żebra. Chciał zaczerpnąć powietrza, ale nie mógł. Jego kumpel zrobił się cały siny, obserwując te zmagania.

Wypił ostatnią pięćdziesiątkę. Minęło. Smok dostał prosto w paszczę i kwicząc, wbiegł do swojej nory. Trzeba ją było szybko zasypać. Wiktor wlał w siebie dwa półlitrowe królewskie, pomachał bufetowej na pożegnanie i pobiegł do stojących przy Smolnej taksówek. Teraz wystarczy prędko wrócić do domu, wjechać na szóste piętro, otworzyć kratę, minąć stary rower, otworzyć drzwi i za jakieś dwie godziny spokojnie skończyć gorzką żołądkową, zostało jeszcze pół butelki. Do rana będzie spokój, pomyślał Wiktor, a potem się zobaczy. Może wypuści felieton dla Tomka? W końcu.

– Dokąd jedziemy?

– Bródno. Kondratowicza przy kwiaciarni Tuberoza, na przeciwko szpitala.

– Wiem, wiem. Jaką trasą jedziemy?

– Chuj mnie to interesuje, to pan jesteś taksówkarz. Po prostu mnie pan zawieź.

Parter, wejście. 11 października 2002, godz. 19.34.

[zapalniczka]

Mężczyzna 1: Już?

Mężczyzna 2: Zaczekaj, jeszcze raz. Albo daj, odpalę, wiatr jest. Kiedy w końcu przyjadą te wieśniaki?

Mężczyzna 1: Szacuneczek, nie słyszałeś nigdy, że klient nasz pan, nawet jak dopiero co od obory odstawiony.

Mężczyzna 2: Od obory, dobre, tera to żeś przysrał, Stefan. Za taką oborę to ja bym dał bzyknąć Mariolkę. Chawira trzysta metrów, jak nie lepiej, w ogrodzie by zmieścił burdel, wesołe miasteczko i garaż dla helikoptera. Kominek, kminek, barek, jeleń na ścianie, kanapka ze skórki. Kaska z każdego kąta wyziera.

[splunięcie]

Mężczyzna 1: Krótco jesteś, to kasy nie widziałeś. To to było zwykłe wsiowe nowobogactwo, siwy pewno ma w miasteczku piekarnie, aptekie czy coś w ten deseń. Ale raczej stawiam na sklep z ciuchami.

Mężczyzna 2: Cemu z ciuchami?

Mężczyzna 1: Ja wiem, trudno powiedzieć. Kiełbasa, chleb, pastylki, to wszystko jakiś ślad zostawia, zapach taki jakby, nie? A tutaj nic nie czuć, więc może ciuchy. Rozumiesz, coś takiego, co peelen jest, a ręce czyste. Może nie ciuchy, ale dajmy na to...

Mężczyzna 2: Telewizory. Mieli taki wielki, płaski.

Mężczyzna 1: Może i telewizory. Ale czekaj, bo myśli nie skończyłem. To było, jak mówię, wsiowe, nawet ten telewizor był płaski, ale nie taki jak obraz. Ta plasma Philipsa, kojarzysz?

Mężczyzna 2: Jasne. Czterdzieści koła, jak nie lepiej.

Mężczyzna 1: No więc taką plasmę widziałem raz, jak przeprowadzałem koleżkę z Ursynowa do apartamentów na Dzikiej, tych nowych przy rondzie Babka. Stary, powiem ci, że ta plasma to był mały miki. Sprzęt: DVD, CD, LCD, tuner, amplifajer, kolumny – kosmos. Jeszcze takiego nie widziałem, tylko metal i szkło, podobno jakaś duńska firma. Pytam się gościa, po ile takie kolumny, bo sam się rozglądam. Ten w śmiech i mówi, że dwadzieścia koła każda.

Mężczyzna 2: Nie pierdol.

Mężczyzna 1: Przestań, bo się spełni. A zresztą coś nudna ta historia, kiedy indziej ci opowiem. Lepiej się wpraw w nastrój, bo zaraz państwo przyjadą i trzeba będzie grzecznie i z uśmiechem, pamiętaj, że bezrobocie jest.

Mężczyzna 2: Czasami to już bym wolał bezrobocie.

Ile ja z tego mam? Półtora na rękę, jak coś włożą do kieszeni, poza tym stały opierdol i te wszystkie miny, jakie robią do robola. Sam jeden z drugim kartofle w warzywniczym podaje, a tutaj pan się znalazł. Przeprowadza się z jednej nory do drugiej. O, jadą. Szkoda, że nie później.

Mężczyzna 1: Daj spokój, widzisz, jaka pogoda. Do jazdy chujówka.

Mężczyzna 2: Ta, do jazdy. Pewnie jeszcze po drodze obiadek, bzykanie, postój, zakupy w supermarkiecie. Może makdonalda zwiedzać pojechali, wiochmeni.

[samochód, silnik, drzwi od samochodu, kroki]

Mężczyzna 3: Witam, panowie, bardzo przepraszam. Sami widzicie, jaka pogoda. Dzwoniłem do firmy, żeby was uprzedzić [drzwi od samochodu], ale powiedzieli, że macie zepsutą komórkę. To moja żona, Agnieszka.

Mężczyzna 1: Dzień dobry, Stefan Majewski.

Mężczyzna 2: Marek jestem.

Kobieta: Agnieszka Mochn..., przepraszam, Łazarek.

[śmiech] To dopiero kilka miesięcy.

Mężczyzna 1: Przyzwyczai się pani. To co, zwalamy?

Mężczyzna 3: Jasne, możecie panowie zacząć wnosić pudełka do windy, ja pobiegnę na górę wszystko pootwierać, ty, kochanie, odstaw samochód tam dalej, żeby było miejsce. Mam prośbę, panowie. Na niektórych pudełkach jest napisane „ostrożnie”, weźcie sobie to do serca, jasne?

Mężczyzna 2: Jasne, szefie, nie robimy od wczoraj.

Mężczyzna 3: Mam nadzieję. No to do roboty, jak się uwiniecie, to...

[kobiety krzyk]

Kobieta: Chryste, co to było?

Mężczyzna 3: Mówiłem ci, że mieszkanie w Warszawie nie może być tak tanie. Może tu jest ośrodek przystosowawczy dla gości z psychiatrika. Właśnie ćwiczą okazywanie strachu na terapii grupowej.

Mężczyzna 1: Nie chrzań pan, tylko dzwoń po karetkę, ja zobaczę, co jest grane.

[kroki, drzwi]

Kobieta: Boję się, boję się, jeszcze nie słyszałam takiego krzyku.

Mężczyzna 3: Zostań przy samochodzie... halo, moje nazwisko Łazarek, Kondratowicza czterdzieści jeden, naprzeciwko szpitala, proszę przysłać karetkę... Nie wiem dokładnie, słyszeliśmy przerażający krzyk, co? Nie, nie ma pani ratować krzyku, tylko przysłać karetkę, jeśli wszystko w porządku, to odwołam... Tak, wiem, że to nie taksówka... O jakich kosztach pani mówi? Czy ta rozmowa się nagrywa? To dobrze, mam nadzieję, głupia suko, że stracisz pracę przez to nagranie.

Przyślesz tę karetkę czy nie? Dziękuję. Wierzyć się nie chce. Zostań przy samochodzie, ja zobaczę w środku.

[drzwi, kroki]

Mężczyzna 2: Stefan! Co się tam... Kurew, rzygasz mi na buty! [wymioty] No przestań, zwariowałeś?

Mężczyzna 3: Jest potrzebna karetka?

Mężczyzna 1: Karetka? [śmiech] Karetka, kurwa? Karetka na pewno nie. Lepiej zamów taryfę do przewozu sztywnych, a jeszcze lepiej dwie. [śmiech] Dwie! Słyszeliście? Dwie! To mi się udało, dwie taryfy, a to dobre. [śmiech]

7

Oleg Kuzniecowa zwykle starał się nie nadużywać uprzywilejowanej policyjnej pozycji, kiedy nie było takiej potrzeby, ale teraz, widząc puchnący w alei „Solidarności” korek, położył koguta na dachu służbowego forda i włączył sygnał. Nie ma sensu jeszcze bardziej przedłużać dnia, pomyślał. Mimo wszystko miał poczucie winy.

Chciał zadzwonić do żony, ale bateria oczywiście zdechła. Ciekawe, czy kiedyś wymienią im telefony na nowsze niż te zabytki, które nie mieściły się w kieszeni spodni.

– Chudy, nie widziałeś gdzieś ładowarki do mojej nokii?

Chudy, czyli Krzysztof Niemiec, jego przyjaciel z wydziału zabójstw KSP, był tak naprawdę otluszczony jak Pavarotti, z trudem mieścił się na przednim fotelu w radiowozie. Wygodniej by mu było z tyłu, na miejscu dla zatrzymanych. Czasami, kiedy Oleg wrzucał piątkę, ocierał się wierzchem dłoni o jego gigantyczne uda. Niewykluczone, że ładowarka dogorywa teraz gdzieś pod jego cielskiem, dawno już straciwszy nadzieję, że ktoś usłyszy jej wołanie o pomoc.

– W kieszeni w drzwiach po twojej stronie.

– Skąd wiesz?

Rzeczywiście była.

– Włożyłeś ją tam przed pięcioma minutami, bo nie chciałeś na niej usiąść. – Chudy miał swoje zalety. – Teraz w lewo, zajedziemy od szkoły, to może mniej zmokniemy, znowu się rozpadało. Mieszkałem kiedyś w okolicy, poznaliśmy się tutaj z Ewą. Opowiadałem ci?

– Później mi się pozwierzasz, Chudy.

Oleg zaparkował koło pojemnika do segregacji śmieci. Z otworu na puszkę wystawała szyjka od butelki, a ze szczeliny na papier rajstopy. Szybko przeszli do klatki, gdzie kilku krawężników trzymało z dala od wejścia ciekawskich pod parasolami. Jakiś pijak awanturował się głośno, że nie może się dostać do swojego mieszkania. Nie teraz. Kuzniecowa skinał policjantom i razem z Chudym weszli do środka, miejsce było już zalane światłem mocnych policyjnych lamp – ekipa techniczna zwykle przybywała razem z dochodzeniówką, lecz tym razem chłopcy jechali z miasta i zdołali ich wyprzedzić. Oleg rozejrzał się. Widział takich miejsc tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy, tak naprawdę miał wrażenie, że bywał w jednym z nich przynajmniej kilka razy dziennie.

Wejście do bloku.

Najpierw przeszklone metalowe drzwi, pokrzywione, z szymbami zbrojonymi cienkim drutem. Zazwyczaj połowa zastąpiona dyktą lub kartonem. Tutaj było lepiej, całość wymieniono niedawno na szczelne drzwi z PCW, może nawet szyby są antywłamaniowe. Przy drzwiach domofon, często pełniący funkcję dekoracyjną. Z zamazanymi markerem numerami mieszkań, przypalony zapalniczkami, nieczynny, z wystającymi kabelkami, lub czynny i niemiłosiernie piszczący. Ten domofon był jednak nad podziw zadbany, choć na pewno nie nowy. W nowych nie wciska się przycisków do poszczególnych mieszkań, tylko wybiera numer na klawiaturze.

Potem klatka. Obłożona lastrykiem, wymalowana wszystkim, co tylko gnoje poznajdowały w kieszeni. Na schodach zawsze leżą z boku deski, choć tylko nieznający strachu inwalida zdecydowałby się na ich użycie do szaleńczego zjazdu swoim wózkiem. Skrzynki pocztowe i tablica dezinformacyjna, gdzie wiszą nazwiska lokatorów, którzy mieszkali tu przed trzydziestu laty, i zabawne ostrzeżenie, że za szkody wyrządzone przez dzieci odpowiadają rodzice.

Za schodkami – centrum komunikacyjne. Z jednej strony wejście na schody na piętra, z drugiej – dwie windy, jedna z pomieszczeniem towarowym zamykanym na kłódkę. Kiedyś Oleg, czekając na windę w swoim bloku, podpatrzył, jak sąsiad z parteru sika za zamknięte drzwi wewnętrzne. Wtedy postanowił, żeby już lepiej zostawić je na stałe otwarte. Nie kusi.

Na końcu poprzeczny korytarz pełen drzwi wiodących do domów wielkich przegranych – mieszkańców parteru. Najpierw ofiary włamań, potem założonych przez siebie krat, odbywających się pod oknem balang i spacerujących z psami ciekawskich, zawsze chcących sprawdzić, czy sąsiad przypadkiem nie posuwa żony.

Miejsce, gdzie stanęli teraz Oleg i Chudy, niczym nie różniło się od poprzednich. Pomijając trupa, rzecz jasna.

Trup spoczywał w windzie, drugiej licząc od wejścia do bloku, tej z przedziałem towarowym, zamkniętym na kłódkę. Leżał brzuchem do dołu, nogi miał skierowane w głąb windy, ręce rozrzucone na boki. Ubrany był w dżinsy i granatowy polar. Na nogach miał trekkingowe buty za kostkę. Obok ciała znajdował się czarny sportowy plecak. Krwi pełno. Zachlapane były ściany windy, na jej drzwiach, jakby namalowana wielkim pędzlem, widniała rdzawa smuga. Krew rozlała się po lastrykowej posadzce, spłynęła po lastrykowych schodach, wsiąkła w filcową wycieraczkę i teraz krzepła powoli. W innym wypadku Oleg spytałby techników dokonujących oględzin, gdzie jest rana, z której wypłynęło tyle krwi. Tym razem nie było takiej potrzeby.

– Co o tym myślisz? – spytał Chudego.
– Myślę: gdzie jest głowa?
– No i dobrze myślisz. Chodźmy wyżej. Nie poślizgnij się tylko.

Na schodach nie poczuli ulgi, choć byli już wolni od widoku trupa. Gnoje zawsze wysiadują na klatkach schodowych, bo przy windach mają za mało kameralnie. Wszystko było brudne jak wagony drugiej klasy w PKP. Zejście do piwnicy zamknięto metalową kratą, z góry dolatywały błyski flesza.

Głowa leżała na pierwszym piętrze, w kącie, tuż przy kracie oddzielającej hol od korytarza z mieszkaniami. Oparta lekko o ścianę, oczy i usta miała szeroko otwarte. Patrzyła w stronę otwartych drzwi windy, za którymi teraz wolno kiwały się liny. Szyba w drzwiach była wybita. Oleg przemógł wstręt i przyjrzał się głowie. Twarz była wykrzywiona w jakimś dziwnym grymasie, denat nie mógł mieć więcej jak trzydzieści lat. Krótco ostrzyżony brunet, błękitne oczy, krzywe, zachodzące na siebie górne jedynki, na nosie charakterystyczny ślad po okularach. Oleg rozejrzał się. Leżały bliżej windy. Modne, owalne oprawki z matowego metalu.

– Co o tym myślisz? – tym razem pytanie skierowane było do niego. Zadał je Smoliński, jeden z najlepszych techników w komendzie stołecznej.

– Ty mi powiedz. Zabójstwo?

– Raczej nie. Nieszczęśliwy wypadek. Moim zdaniem było tak: jechał windą na dół, kiedy zatrzymała się między pierwszym i parterem. Przed sobą miał kawałek „międzypiętra”. Drzwi parteru nie widział wcale, były tuż pod kabiną. Na wysokości głowy zaczynały się drzwi na pierwsze piętro.

– Brzmi niegroźnie.

– Idź na dziwki na Żurawią, jak chcesz mieć groźnie. Ja mówię, jak było. Chociaż jest słaby punkt. Coś sprawiło, że facet, zamiast wciskać dzwonek, wzywać pomocy, zatelefonować z komórki czy po prostu czekać, postanowił wyjść z windy.

Wybił ręką szybę w drzwiach i wsadził tam głowę, choć przecież musiał wiedzieć, że cały się nie przecisnie. Wtedy winda ruszyła. Trudno uwierzyć, że ktoś przy zdrowych zmysłach mógł zrobić coś takiego. Sekcja wykaże, czy był naćpany. A może miał problemy z głową.

– Może. – Oleg wzruszył ramionami. – To chyba najprędzej. Trzeba popytać rodzinę i sąsiadów.

– Wiem, co go zabiło. – Chudy włączył się do rozmowy. Oleg ze Smolińskim spojrzeli na niego: powiedział to tak poważnie, że zabrzmiało złowieszczo.

– Obcy, drugi pasażer windy? – Żart Olega był całkiem, całkiem, ale mimo to nikt się nie uśmiechnął.

– Jesteś bliżej, niż ci się wydaje. – Chudy oblizał nerwowo wargi. – Zabiło go przerażenie. Mówię wam. Coś go przeraziło tak śmiertelnie, że postanowił wydostać się z windy za wszelką cenę, nawet przeciskając się przez okienko w drzwiach. Byle dalej od tego, co czatowało na niego gdzieś tam. Nie wiem gdzie. Może w kabinie, może w szybie, może w tej skrytce na szafy. Być może było tylko w jego głowie, ale to musiał być prawdziwy koszmar. Spójrzcie na jego twarz.

Spojrzeli. Oleg wzdrygnął się. W dziwnym grymasie odbijał się strach, Chudy miał rację. Na wszelki wypadek trzeba dokładnie zdjąć odciski z windy, zwłaszcza z drugiej części.

– Tylko raz widziałem taką maskę – mówił dalej Chudy, a jego głos z każdym słowem brzmiał coraz bardziej głucho. – I kto jak kto, ale wy powinniście ją pamiętać, choć to ja widziałem ją pierwszy i nigdy tego nie zapomnę. Wy pewnie też.

Zamilkli. Nikt nie chciał wymówić imienia dziewczyny.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca